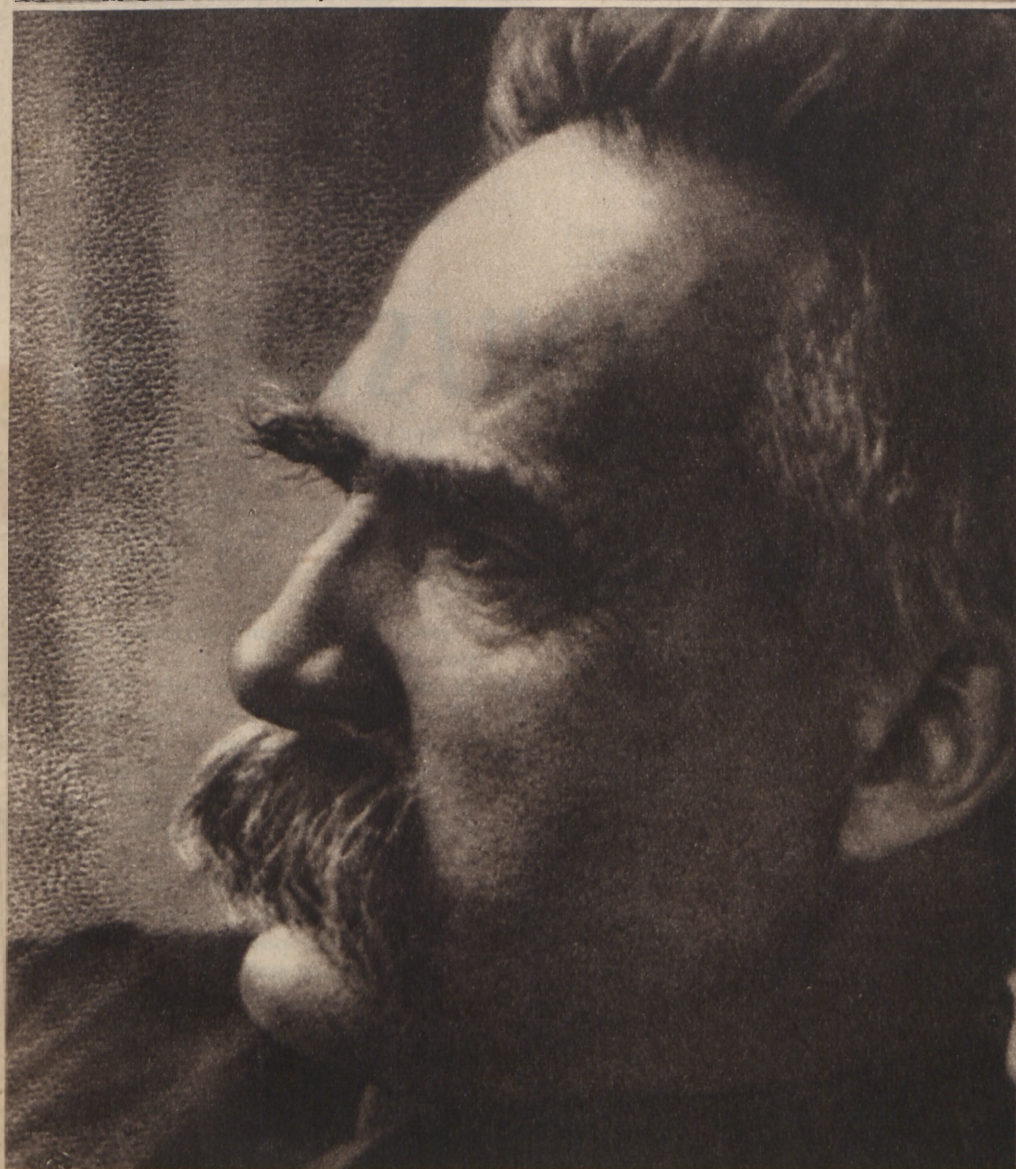


PŁOMYK

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

ROK 20 • TOM II • NR. 27

WARSZAWA, 16 M A R C A 1936 ROKU



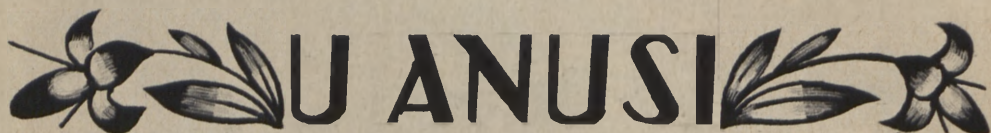
JÓZEF PIŁSUDSKI



Dzień ten
jeszcze rok temu
powitały, jak wiosnę,
nasze czoła wzniesione,
nasze oczy radosne.
Hej, jaśniały w Twe święto
przed belwederskim progiem
nasze słowa, jak kwiaty,
nasze oczy — jak ogień!
Pusty dom Twój,
Marezałku!
Polska osierocona —
Odszedłeś, odszedłeś,
ale pamiętasz o nas.

W dumnym, królewskim grobie,
ten sam dla nas zostaniesz.
Nie umarło po Tobie
wierne nasze kochanie.
Dzień Imienin Twych,
Wodzu,
jasny w naszych wspomnieniach,
zostanie dla narodu
dniem rachunku sumienia.
Armja nowych pokoleń
w walce, w pracy wytrwałej
będzie spełniać Twą wolę
na całej Polski chwałę.

Antoni Narbutt



MATKA
ANUSIA — jej córka
WOJTEK — młodszy brat Anusi

MAŁGOSIA } szkolni
FLOREK } koledzy
WICEK } Anusi

(Izba wiejska czysto i porządkie utrzymana. W jednym kącie piec z gliny, ława, w drugim — łóżko pod obrazami, koło łóżka ławka i stolik. Anusia się dzi na ławie. Czyta książkę.)

Matka wchodzi z wiadrem wody.

ANUSIA: Aleście się zedźwigali, matulu. I poco? Byłabym przyniosła...

MATKA: A nie, nie, Anusiu, jeszcześ niezdrowa.

ANUSIA: Co tam! Do stoku blisko.

(wpada Wojtuś)

WOJTUŚ: Ady, matulu, boćka widziałem! Boćka! Naprawdę! Na sołtysową stodołę siadł. I tak goniłem, goniłem drogą, bo go zbliśka chciałem zobaczyć. I tak sobie kolano stłukłem już na sołtysowym podwórku. A jak ja się wywróciłem w błoto, to bociek się poderwał i uciekł...

MATKA: Każdyby uciekł, jakby takie rozozochrane straszycło zobaczył

a jeszcze z rozbitem kolanem i ubłocone do pasa!

WOJTUŚ: Matulu... gniewacie się?...

MATKA: Ej ty pochlebco, pochlebco! Jak tak słodko oczkami przewraca, byle się ino nie gniewać! Bóg z tobą. Cobym się miała gniewać... Ale oczyścić się w sieni i przyjdź, to cię uczeszę.

(Wojtuś wychodzi do sieni)

ANUSIA: Idźcie już, matulu do młyn, bo przecie południe minęło. Ja tu z Wojtkiem posiedzę.

(W sieni hałas, gdakanie kur)

MATKA: Co się tam dzieje!

WOJTEK *(wbiegając)*: Matulu, to kot, to nie ja! To kot spłoszył kury!

MATKA: Znam ja tego kota w bu-

tach. No, chodźże tu, paliwodo, niech cię Anusia uczesze. I posiedź tu z nią. Widzisz, że słaba jeszcze, że się jej przykrzy samej.

WOJTEK (*siada na ławie koło Anusi*): No, uczesz mnie.

ANUSIA: Dobrze. Tylko się nie kręć.

MATKA (*w drzwiach*): Ostajcie z Bogiem, dzieci. A nie zbrój tam czego urwisie, bo uszy będą w robocie!...

WOJTEK: Hm.. hm.. hm...

ANUSIA (*czesze go i śpiewa*):

A w sadeńku, dwie dróżenki,
a trzecia miedza...

WOJTEK (*zrywa się z ławki, biegnie ku oknu*): Oo! Koń się kowalowi wyrwał! Skacze przez ogrody! Lecę, Anuś! (*wybiega*).

ANUSIA: Wojtuś! Wojtek!! Wróć się! Co ja pocznę? Jeszcze go ten koń strątuje Utrapienie z tym chłopakiem, ciągle mu się w głowie pali! (*Pukanie w drzwi*)

ANUSIA: Kto tam?

GŁOSY: To my, Anula, to my!

ANUSIA: A chodźcież do izby, goście kochani!

(*Małgosia, Florek i Wicek wchodzą, witają się z Anusią, kładą torebki z książkami na ławie, siadają*).

ANUSIA: To już po lekcjach?

WICEK: A już.

ANUSIA: Co dziś robiliście?

FLOREK: Robić, to poprawdzie, nie było co, ale cośmy się z panią nauczycielką wygadali, to za wszystkie czasy!

ANUSIA: I o czym to tak.

MAŁGOSIA: O Marszałku. Toć to dziś 19 marca, Jego imieniny!

FLOREK: Pani nam opowiadała, jak raz, kilka lat temu, była na imieninach w Belwederze...

MAŁGOSIA: I jak Marszałek z dziećmi rozmawiał...

FLOREK: Jak Mu śpiewano pod oknami pałacu legjonowe piosenki.

ANUSIA: To i wyście pewno śpiewali?

MAŁGOSIA: A śpiewaliśmy.

ANUSIA: Ciekawość, co?

FLOREK: „O mój rozmarynie”... i „Jedzie, jedzie na kasztance”...

WICEK: I „My, pierwsza brygada...”

MAŁGOSIA: A śpiewaliśmy na błoni,

za szkołą. Obróciliśmy się twarzami w tę stronę, gdzie Kraków. Wiadomo, głos do Krakowa nie doleci, ale to tak jakoś ładnie było!

FLOREK: Prosto w słońce!

WICEK: A wiesz, że wasz Wojtek mówił wiersz o Marszałku? Wiersz z „Płomyczka”.

FLOREK: I ładnie powiedział.

MAŁGOSIA: Tylko później tak się jakoś zawstydził, że wypadł ze szkoły na drogę i już nie wrócił. Ale pani nie gniewała się na niego i powiedziała, że ten wisus ma złote serce.

(*Wchodzi Wojtek*)

WOJTEK: Złapali! Złapali!

ANUSIA: O wilku mowa, a wilk tuż...

MAŁGOSIA: Kogo złapali? Kogo?

WOJTEK: Konia złapali!

MAŁGOSIA: Więc co z tego?

WOJTEK (*stracił cierpliwość*): Ee... z dziewczynami to tak zawsze!

(*staje koło pieca, zagląda w garnki*)
ANUSIA: Powiedźcie, co jeszcze było w szkole?

WICEK: Wianek uwiliśmy na portret Marszałka.

MAŁGOSIA: I pani prosiła, żeby uczcić jego imieniny dobrym uczynkiem.

FLOREK: Więc myśmy przyszli chorą odwiedzić.

ANUSIA: Dobrzeście zrobili. To naprawdę dobry uczynek. Tak mi smutno samej w izbie. Matula wyjdą, gdzie do roboty, Wojtek, jak to Wojtek, na wieś pobiegnie, a mnie tak smutno, tak nudno...

MAŁGOSIA: Wiesz co, może my codzień do ciebie będziemy zachodzili?

MAŁGOSIA: I zawsze ci opowiemy, co nowego w szkole!

ANUSIA: Oj, dobrze! Dobrze!

FLOREK: No, a teraz czas na nas. Bywaj, Anulu!

MAŁGOSIA: A ozdrowiej prędko!

(*Zbierają książki, torebki i wychodzą*)

WOJTEK (*podchodzi do Anuli*): Gniewasz się na mnie?

ANUSIA: Za co?

WOJTEK: Że tak latam i latam, że z tobą nie posiedzę... Ale, widzisz, mnie tak coś gna! Zychym nie mógł bez tego latać!



U. S. A.

U. S. A. to United States of America — Zjednoczone Stany Ameryki Północnej. Stany Zjednoczone powstały pierwotnie z trzynastu kolonij angielskich, utworzonych w ciągu XVII-go i XVIII-go wieku. Kolonje zakładali przeważnie emigranci — angielscy purytanie.

W 1765 roku wybuchł spór pomiędzy temi kolonjami a metropolją o narzucony im podatek oraz cło na herbatę. Spór ten przerodził się w walkę orężną przeciw Anglii. Delegaci wszystkich kolonij, zebrani w 1776 r. w Filadelfji pod przewodnictwem Waszyngtona ogłosili niepodległość kolonij. Utworzono z nich federacyjną republikę demokratyczną pod nazwą Stanów Zjednoczonych. Pod naczelnem dowództwem Waszyngtona wojska Stanów Zjednoczonych odniosły zwycięstwo nad wojskami angielskimi. W tych walkach brali również udział Europejczy-



MOST BROOCLYNSKI



PREZYDENT ROOSEVELT

cy: z Polski — Kościuszko, z Francji — Lafayette.

W roku 1783 niepodległość Stanów Zjednoczonych została uznana i przez Anglię. Odtąd Stany Zjednoczone rosły szybko jako potęga terytorjalna i materialna. W drugiej połowie XIX-go wieku zawładnęły Stany Zjednoczone Kubą, Portoryko, Filipinami, Hawaj. Zyskały wpływy gospodarcze i polityczne w Chinach.

Amerykanie bowiem odznaczają się niezwykle przedsiębiorczością i energją. Nazywa się Amerykan „Jankesami”. Naród amerykański to mieszanina ludności przybyłej w XVII i XVIII w. z Anglii, Holandji, Francji, Hiszpanji, Portugalji. Ludność pierwotna — Indianie — coraz bardziej zanika i mieszka przeważnie w rezerwach. Nie odgrywają też oni żadnej roli w życiu gospodarczym państwa.

Życie gospodarcze podniosło się ogromnie po 1850 roku. Stany Zjednoczone posiadają niewyczerpane źródła surowców, skarby mineralne — węgiel,

żelazo, naftę. Po 1850 r. dzięki ochronie celnej i bogactwu surowców przemysł i komunikacja rozwinęły się, jak w żadnym innym państwie świata.

Największe znaczenie posiada przemysł żelazny i stalowy, włókienniczy, chemiczny, budowy maszyn, drzewny, mięsny oraz automobilowy. Duża ilość gałęzi przemysłu zorganizowanych jest w monopole i trusty. Np. trust tytoniowy (American Tobacco Co), naftowy (Standard Oil Co), cukrowy (American Cugar Refining Co), bananowy (U. S. Fruit Co), stalowy (U. S. Steel Co) i inne, niewielkie grupy kapitalistów.

Również koleje żelazne są tam własnością niewielkich grup kapitalistów i towarzystw. Najważniejsze są linie kolejowe łączące Ocean Atlantycki z Oceanem Spokojnym. W ostatnich czasach rozwinęła się wysoko komunikacja lotnicza, dla której istnieje duża ilość linii powietrznych. Telegrafy również są

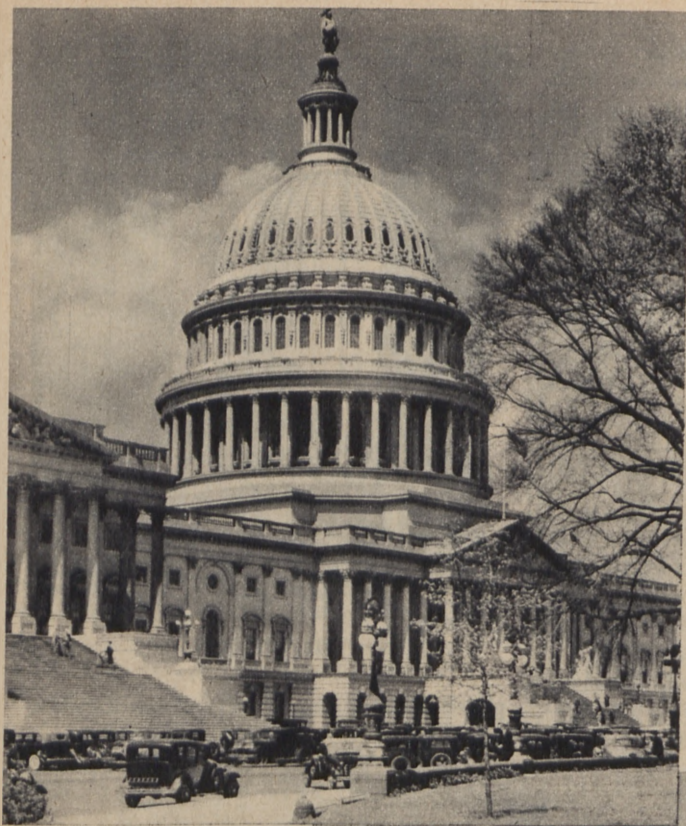


FILADELFA

przedsiębiorstwami prywatnymi, głównie Western Union Telegraph Co.



WIEŻE WIERTNICZE W KALIFORNI



WASZYNGTON

W południowych stanach U. S. A., gdzie rozwinęło się wielkie gospodarstwo farmerskie głównymi produktami rolnictwa są: kukurydza, pszenica, owies, jęczmień, żyto, len, kartofle. Uprawa bawełny, w której Stany Zjednoczone zajmują pierwsze miejsce w świecie odbywa się w stanach południowych i południowo-zachodnich, zwłaszcza w Texas. Trzcinę cukrową uprawia się w Luizjanie, winną latorośl w Kalifornji. Dużą rolę odgrywa produkcja wełny, przemysł mleczarski i mięsny.

Ogromnie rozwinięte życie gospodarcze wysu-

nęło Stany Zjednoczone na naczelne miejsce w handlu światowym. Wwóz i wywóz towarów sięga kolosalnych liczb.

38% handlu zagranicznego obsługuje flota handlowa, statki oceaniczne. Ruch towarowy przechodzi głównie przez porty, jak New York, Filadelfja, Boston, Baltimore, San Francisco, jedne z najruchliwszych i największych w świecie.

Życie w tych potwornie wielkich miastach „Nowego Świata” oraz wygląd tych miast różnią się najzupełniej od europejskich.

Gigantyczne, żelbetowe drapacze chmur najwyższymi piętrami giną wysoko pod niebem



NA FARMIE



NOWY JORK

Ruch na ulicach jest ogromny, nieznany w największych stolicach Europy. Niezliczona ilość aut, samochodów ciężarowych, autobusów przepełniając jezdnie, miesza się z czerwono-zielonemi sygnalami ulicznymi i gwarem tłumów ludzkich. Przed wielkimi kinami od rana już jarzą się światła i neonowe reklamy. Ludzie śpieszą się, każdy według swego rozkładu czasu. Życie jest szybkie, przyspieszone. Obywatel New-Yorku lub Chicago reguluje swój dzień powszedni z zegarkiem w ręku.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej to kraj demokracji. Równość obywateli istnieje tam od 1870 roku. Murzyni również zostali równouprawnieni w 1870 roku. Mimo to w stanach południowych U. S. A. murzyni w różny sposób są ograniczani. Murzyni posiadają w wielkich miastach swoje dzielnice — „ghetta” — które zamieszkuje w zbiej masie.

Prawa, zwłaszcza zaś prawa wyborcze, różne są w rozmaitych stanach. Według konstytucji tworzą Stany Zje-

dnoczone dzisiaj 48 stanów. Władzę ustawodawczą sprawuje Kongres złożony z senatu i izby deputowanych, zbiegający się w Waszyngtonie. Senat składa się z 96 (po dwóch z każdego stanu) wybieranych na 6 lat przedstawicieli, najmniej w wieku 30 lat.

Izba deputowanych składa się z 435 posłów wybranych na dwa lata. Muszą mieć ukończonych lat 25. Prawo wyborcze przysługuje wszystkim obywatelom od 21-go roku życia. Prezydent Stanów Zjednoczonych mieszka w „Białym Domu” w stolicy Stanów Zjednoczonych — Waszyngtonie.

Jeśli chodzi o wojskowość i marynarkę wojenną, istnieje w Stanach Zjednoczonych tylko ochotnicza służba wojskowa. Na wyższych uczelniach i w zakładach średnich wprowadzone jest jednak państwowe wychowanie fizyczne. Armia regularna złożona jest z żołnierza zaciężnego. Naczelne dowództwo sprawuje prezydent. Pod jego kierownictwem znajduje się sekretarz dla spraw wojny, któremu podporząd-



Z KALIFORNJI



NIAGARA

kowany jest szef sztabu generalnego. Marynarka amerykańska złożona z wielkich okrętów linjowych, pancerników, torpedowców, łodzi podwodnych, nie ustępuje marynarce Wielkiej Brytanji. Na czele marynarki stoi sekretarz stanu z radą złożoną z pięciu admirałów.

Flaga wojenna i handlowa Stanów Zjednoczonych składa się z 7 czerwonych i 6 białych pasów poziomych, przedzielających się wzajemnie. W górnym rogu, przy drzewcu niebieski czworobok i 48 (symbol 48 stanów) białych gwiazd. Jest to. t. zw. „gwiazdzisty sztandar” — Stars and Stripes.

Potęga gospodarcza i polityczna Stanów Zjednoczonych sprawiła, że udział ich w wojnie światowej miał znaczenie rozstrzygające. Wzbogaciwszy się niezmiernie na dostawach w czasie

wojny występowały Stany Zjednoczone wobec Europy w roli „dobrego wujaszka”. Doprowadziwszy racjonalizację w przemyśle do ostatnich granic zapowiadały t. zw. „prosperity” — powszechną pomyślność. W międzyczasie jednak straszliwa katastrofa gospodarcza wstrząsnęła Stanami Zjednoczonymi i rzuciła na bruk kilkanaście milionów bezrobotnych. Nietylko zniszczyła nadzieje na powszechną pomyślność, lecz i ugodziła w dotychczasową rolę Stanów Zjednoczonych, jako nauczyciela, doradcy Europy w sprawach gospodarczych i finansowych. Usiłowania prezydenta F. Roosevelta, mające na celu przywrócenie równowagi w stosunkach U. S. A. natrafiają na przeszkody wewnętrzne, nie doprowadziwszy w wyniku do zmiany.

A. Bruski



W WIGWAMIE

Tinch, stara Indjanka wyplatała koszyk w piękne wzory, mrużąc pod nosem dawną kołysankę. Nuciała ją swemu synowi, gdy był dzieckiem. Potem tą samą kołysanką usypiała jego dzieci. Dziś niema już kto słuchać starej Tinch. Syn, wódz plemienia Algonkinów, rzadko miał czas dla matki. A wnuczeta: mały Tinglit i słodka Tinahet są daleko na wschodzie nad jeziorem Winnebägo (Winnipeg). Ojciec oddał je do misyjnej szkoły. Twarz Indjanki aż zamroczyła się na myśl, że dzieci mogą się nauczyć złych obyczajów „bładych twarzy”. A Tinch nie lubiła białych.

Naraz pies, leżący u nóg starej kobiety zaczął głośno ujaść. Indjanka podniosła rękę do oczu, ale w blasku zachodzącego słońca nie bardzo mogła poznać, kto nadjeżdża. I nagle do nóg Tinch przypadło dwoje dzieci.

— Tinahet! Tinglit! — wołała babka z przerażeniem — co się stało? Żle wam było u „bładych twarzy”?

A dzieci, jedno przez drugie zaczęły opowiadać, że w szkole było nienajgorzej, że siostry misyjne były dobre, ale... Tinahet nie mogła nigdy zasnąć w wielkim kamiennym domu. Brak jej było poszumu, idącego z prerji. Chciała spać w ogrodzie, ale siostry nie pozwalały... I kazały jej chodzić, w szarym mundurku... Miano obciąć Tinglitowi włosy i zdjąć opaskę syna wodza, żeby się nie różnił od innych dzieci. A jak Tinglit się sprzeciwił, to powiedziano, że jest babą z długimi warkoczami. I Tinglit o mało co nie rzucił w siostry swym małym tomahawkiem, bo się obraził, że go nazwano babą. A wtedy odebrano mu tomahawek i oznajmiono, że może chodzić z brudną głową.

— I konia, ukochanego mojego konia



DZIEWCZYNA ZE SZCZEPU NAWAJÓW



INDJANIN ZE SZCZEPU SIOUXÓW

zamknęli w kamiennym domu. I koń tak posmutniał, że nie chciał jeść — dorzucał skargi Tinglita.

— Tak, wolnym dzieciom prerji nie łatwo przywyknąć do zamknięcia — myślała Tinch — ale jak wy przejechaliście 80 mil sami przez prerję, tacy malcy? — pytała nie ochłonawszy jeszcze z wrażeń, jakie ją ogarnęło na widok dzieci.

— Wymknęliśmy się ze szkoły rano, wyprowadziliśmy konia i dalej w drogę. Jechaliśmy cały dzień. A w nocy wdrapaliśmy się na drzewo, przywiązaliśmy Tinglita i siebie do gałęzi, żeby nie spaść, a od wschodu słońca znowu jechaliśmy — mówiła Tinahet, bardzo dumna z całej przygody.

— Musicie być okropnie głodni — zatroskała się babka i wyniosła z „wigwamu” (namiotu) pięknie zdobioną tykwę z której dzieci zaczęły chciwie pić. Tymczasem stara wystawiła misę z papką ulubioną przez dzieci i wybrawszy z ogniska, płonącego opodał, gorące kamienie rzucała je do misy, aby uwarzyć jadło.

Tinahet i Tinglit nie zdążyli dokończyć wieczery, gdy od prerji dobiegł

ich uszu tętent koni, głosy i pohukiwania ludzi. To ojciec z towarzyszami wracał z łowów na dzikie konie.

Dzieciom zrzędyły miny. Animusz Tinahet stopniał bez śladu, a Tinglit mimowoli spojrzął się w kąt wigwamu, gdzie wisiał taki, dobrze mu znany



INDJANKA Z DZIECKIEM



WÓDZ INDYJSKI

długi rzemień bawoli. Wódz plemienia Algonkinów zdumiał się ogromnie, zobaczywszy córkę i syna, których chciał przerobić w cywilizowanych ludzi. Jego ciemna twarz o orlim profilu, jeszcze pociemniała z gniewu.

— Dlaczego nie jesteście w szkole? — zapytał krótko. Ale stara Tinch pokrzykując, rozповідаła synowi i otaczającym go Indjanom o wszystkich okropnościach, jakich doznały jej biedne małe wnuczeta. Rzeczywiście słuchając jej zawodzeń, można było przypuszczać, że małym Indjanom działa się krzywda, choć poprawdzie winą leżała po stronie dzieci, które nie umiały nagiąć się do rygoru szkolnego.

— Włosy chcieli obciąć chłopakowi — mówiła Tinch, dotykając z lubością czarnych, prostych, jak druty włosów Tinglita, od których odcinała się jaskrawo wąska przepaska z muszelek z orlem piórkem zatkniętem styłu. Gdy babka dotarła do miejsca opowiadania jak to Tinahet uwiązała siebie i brata na drzewie, aby nie spaść, wódz rzucił spojrzenie ku dziewczynce. Tinahet zdawało się, że ojciec się uśmiechnął, ale to było złudzenie.

— Nie chcecie być w szkole, nie chcecie się uczyć, dobrze. Ale od jutra koniec wałęsania się, koniec lenistwa. Ty, matko weź się ostro do Tinahet. Zapędź ją do roboty, która przystoi kobietom Indjankom. Niech plecie koszy-



INDJANKI



ŚWIĘTA GÓRA INDJAN

ki, niech haftuje z paciorków oznaki plemienne, niech lepi misy. A ja już zajmę się Tinglitem — przemówił surowo ojciec.

I już nazajutrz Tinahet usiadła w kucki koło babki na wielkiej słomianej macie i starała się naśladować ruchy Tinch, lepiącej niemal błyskawicznie garnki z płatów gliny, których stos leżał przed nią. Dziewczynka chciała też zrobić taki garnuszek, ale jej się to mocno nie udawało. Myślała sobie, że w szkole było jednak nienajgorzej.

A wódz zaprowadził Tinglita do oddalonego od wsi schroniska, tam gdzie ani kobietom, ani dzieciom nie wolno było pod karą zbliżać się. I tu w mrocznej izbie, której ściany zawieszono

były czaszkami i skalpami wrogów plemienia, chłopiec uczył się dziejów swego rodu. Od czasu do czasu ojciec wyciągał z kąta wyprawione skóry bawole, na których obrazkami wypisane były bohaterskie czyny wodzów-Algonkinów. Takie skóry bawole w uroczystych chwilach wodzowie noszą, jako płaszcze.

— I ty będziesz miał taką skórę — zwrócił się ojciec do Tinglita — ale musisz być mężny, odważny. Musisz być dobrym strzelcem. I nie wolno ci będzie uciekać od trudnych obowiązków, tak, jak uciekłeś ze szkoły. — A wtedy chłopczyk spuścił ze wstydem głowę, bo zrozumiał, że oboje sprawili ojcu wielką przykrość. *Janina Przeworska*



W KANADYJSKIEJ KNIEI

Pnie drzew niebotycznych — prawie stumetrowej wysokości zwartym stoją tłumem. Daglezje — podobne do naszej jodły, olbrzymie tuje i cedry kanadyjskie wznoszą gęstą gałęzie nad kobiercem mechów i różnych paproci, pokrywającym płytką glebę naskalną. Polanki i luki powstałe po wywrotowiskach zarastają klony i przeróżne krzewy z leszczyną na czele. Przepysznie



GRIZLY

rozpanoszyły się tam sploty prawie drzewiastych jagodzin, przypominających nasze borówki. Zwały skał — dziwacznie przez stulecia porysowanych i poszczerbionych, tworzących jaskinie i rozpadliny, nagością swoją wyróżniając się jaskrawo na tle bujnej zieleni...

Jedną z takich zamaskowanych pogmatwanymi zaroślami szczelin upodobał sobie stary grizly — szary niedźwiedź i urządził w niej legowisko. W zimie spędzał w niej długie miesiące rozkosznej drzemki, podczas której nie obchodziły go ani wichry zawałające całą ziemię zaspami śnieżnymi, ani mróz trzaskający... Teraz, gdy wiosna się zbudziła, jakaś ręka niewidzialna ujęła starego śpiocha za splecione kudły na karku i wywlokła go z dusznej gawry. Przeciągnął się olbrzymi niedźwiedź, wyprostował ścierpłe i ociężałe od długiego bezruchu członki, spojrział małemi, buremi oczkami na pełną

przepychu wiosnianego knieję i poczuł w sobie siłę nieprzebraną, a zarazem wielki głód! Mała, szara wiewiórka-czikari, która dawno już władcy kniei kanadyjskiej nie widziała, zgrabnie skoczyła na koniec giętkiej, miękkim igliwem okrytej gałęzi daglezji i zawrzęszczała gdakającym głosikiem — prawdopodobnie jakieś najnowsze przekleństwo. Z trwożliwym furkotem twarde skrzydeł wyfrunął z gestwiny brzosznik długoogoniasty cietrzew kanadyjski i znów ciszą niczem niezakłóconą witała knieja swego pana-szarego grizly.

Niedźwiedź postął chwilę, pogrążony w zadumie. Potem skierował swe kroki przewalając się i sapiąc, ku samotnie stojącemu opodal cedrowi. Gdy się doń zbliżył, uniósł się na tylnych łapach, oparł przednie o pień wiekowego olbrzyma i zaczął ostrzyć potężne pazury. Kiedy uznał je za dostatecznie eleganckie, otarł się czarnym, wilgotnym nosem i włochatym podbródkiem o korę starego drzewa, które od wielu lat prawie codzień w tym celu odwiedzał. Niedźwiedzie-grizly znaczą pazurami wybrane drzewa i ocierają się o nie prawdopodobnie poto, aby sąsiedzi przy odwiedzaniu ich królestwa mieli właściwe pojęcie o sile i wzroście właściciela posiadłości, o których to cechach wyraźnie świadczą brzozy pozo-



SZOP - PRACZ

— My... my... proszę pana... chcieliśmy...

bo...

— Poco się włóczycie u licha?

Mania myśli, co z niemi robi ten rozbójnik ze strzelbą. Płacze, nie może słowa z siebie wydobyć. A Baśka nieśmiało:

— My... my z Chińskiego Dworu...

— Z jakiego znów Chińskiego Dworu? Czyście powarjowały?

— Z kolonji... z kolonji, proszę pana.

— Aa! I zamiast spać, to się włóczycie? Dobrze, żem was nie postrzelił!

— A to pan?

— Ja. Na postrach. Drzewo kradną z lasu. Chodzą tu różni. A wy co? Cóż to za figle?

Mania myśli: o mój Boże... złodzieje, różni ludzie... a ten co z niemi robi?...

Ale na szczęście okazuje się, że to nie jest rozbójnik, tylko poprostu gajowy.

— Odprowadę was do kolonji.

— Szanowny panie gajowy... to już my wrócimy same... żeby się nikt nie dowiedział... bo... bo myśmy chciały przestraszyć naszą nauczycielkę... więc...

Gajowy śmieje się na całe gardło:

— A same się więcej przestraszyły!

Wracają do Dworu, ciągnąc za sobą nieszczerne prześcieradła. Jak na złość spotykają przy samym domu pannę Julję, która dziś chodziła na spacer w drugą stronę.

Wziął za ramię „Groźnego” i wyprowadził go do siebie, na górę.

Trusia odeszła też do swego pokoju, a u nas zrobiło się na chwilę cicho, jak makiem zasiał. Jakto? Roman musi wracać do miasta? To była straszna kara!

Nasza złość raptownie ostygła. Pestka powiedział niepewnie:

— A dobrze mu tak!

Ed gwizdał przez zęby w zamyśleniu, ma naszroszone brwi. A Kaźka nagle:

— Czekaście! Ja tam pójde!

I już poleciała za Chińczykiem na górę. Długo czekaliśmy w milczeniu, aż wróciła z wiadomością:

— Uprosiłam! Zostanie. Sam ma sobie wyznaczyć karę. Ale trudno było.

Spojrzała po nas, jakby czekając uznania.

— Klawo, Kaźka! — mruknął Ed.

— Ty się nie umiesz długo złościć — dodałem.

— Widzicie... bo przecież on może nie chciał... tylko tak, czy ja wiem? Złe do głowy czasem przychodzi... Zresztą już wszystko jest dobrze. Tomcio zdrów i cały. Poco Roman ma wracać? A ja... ja obiecałam św. Antoniemu, że jak się Tomek znajdzie, to... będę zawsze... ech, ale poco mam wam gadać... dość, że już wszystko w porządku.

I Kaźka uśmiecha się po swojemu, siada przy Tomciu i głaszcz go po włosach. Wygląda teraz jak dorosła mama.

Przyjemnie mieć dobrą siostrę...

ROZDZIAŁ V.

Duchy.

Przez dwa dni rozmawiamy o przygodzie Tomka i o różnych strachach. Jednego popołudnia Basia pyta Trusię:

— A pani nie boi się duchów?

— Moje dziecko, niema żadnych duchów! — odpowiada panna Julia, nie podnosząc oczu nad szydełkowej robótki.

— A diabła?

— Niema diabła. Jest tylko złe sumienie.

— A nietoperze? To przecież zmienione czarownice?

— Wtedyż się, Maniusiu, opowiadać coś podobnego. Nietoperze, to pożyteczne zwierzątka.

— A czego się pani boi? — upierają się dzieciny.

— Niczego.

— To niemożliwe! A... a śmierci?

— Kto ma czyste sumienie nie boi się niczego, moje dzieci.

Tusia mówi wolno, cicho i równo. Zupełnie jakby czytała z książki. Basiek to drażni:

— Ech! Takie opowiadanie! Moc jest strasznych rzeczy na świecie! Tylko pani tak udaje! Przed nami!

— Nie mów do mnie, Basiu, w tym tonie... To niegrzecznie.

Tak się skończyła rozmowa z Trusią. A po

musi się udać! Chłopcy ciągle coś urządzają, a my nic?

Mania zawija się szczerzej w prześcieradło, nogi jej drętwieją.

Nagle jak nie huknie coś w lesie! Boże! Ktoś strzelił!

Basia zeskakuje z gałęzi, rozgląda się.

— Ojej! Boję się... — piszczy Mańka, bliska płaczu. — To pewno bandyci! Zastrzelą nas, uciekajmy!

— Jacy tam bandyci... cicho siedź... ktoś nadchodzi... to Trusia... psst...

Na drodze ukazuje się cień ludzki, ale to nie jasna suknia panny Julji, tylko ciemne ubranie jakiegoś mężczyzny.

Zatrzymał się... patrzy w przydrożne zarośla. Przyłęgły do pnia całem ciałem, ale przecież białych prześcieradeł nie ukryją.

Gruby głos pyta:

— Kto tu?

Dziewczynkom braknie tchu w piersiach.

— Kto tu? Co za lichy?

Boją się pisać.

— Wyłazić, bo strzeli!

Na taką groźbę drżące, białe postacie wysuwają się z zarośli.

Obecy świeci im latarką prosto w twarz.

Widzą teraz, że ma wielkie wąsiska i strzelbę na ramieniu. Gruby głos aż dudni w ciemnym lesie:

— Co tu robicie? Cóż to za maskarada?



Skrecają w bok, w brzezinę, a potem przed siebie, potykając się na nierównościach.

tej rozmowie Baśka wpadła na swój pomysł „duchów”. Już widocznie panowała u nas w te dni istna zaraza na straszenie, bo dziewczyny postanowiły, na własną rękę, spłatać figla pannie Julji. Śmieszna to była przygoda! Opiszę wam pokolei. Mnie wszystko opowiedziała Kazia, która nigdy nie umie nic ukrywać, ani dochować tajemnicy. A więc:

W dębowej sali mrok i cisza. Już dawno była kołatka na spanie. Wieczór jest ciemny, jakby specjalnie wybrany na zamierzoną wyprawę. Nie ma księżycy, przez szpary okiennic nie sączy się światło.

Basia i Mania udają, że śpią, jak i wszystkie dziewczynki, ale wyczekują, aż obok zaskrzypią drzwi i Trusia wyjdzie na swój zwykły spacer. Właśnie teraz przekręca klucz w drzwiach... już wyszła...

Więc cichutko podnoszą się z łózek i ściągają z sienników przecieradła. Trudno jest poruszać się w ciemnościach, żeby nic nie trącić. Właśnie Mania uderzyła nogą w stół.

— Co to? — mruczy sennie Kazia.

— Cicho... to nic... śpij...

— Kto tam łązi? — obudziła się któraś.

— Nic... ja tylko sprawdzam czy okiennica zamknięta...

Rzeczywiście Baśka majstruje coś koło okna. Specjalnie zdjęła przedtem sztabę z umówionej okiennicy. Teraz okno łatwo otworzyć. Czeka ją

jeszcze chwilę, aż zupełnie uciśniesz się w dębowej. Już okno otwarte. Teraz przetrząść przesćciernadła i przejść przez parapet. Uff... jak skrzypią zawia-
sy... Jeszcze moment i hop! — są już na dworze. Tu widzisz, niż w pokoju. Cisza. Tylko wiatr le-
ciutko szumi w krzakach.

Baśka ciągnie towarzyszkę za rękę:

— Cicho... chodź do alei... już czas... ona za-
raz będzie wracała... przeszła brzezinę...

— Zimno mi — skarży się Mania. Są tylko
w nocnych koszulach.

— Cicho! Nero czeka... U Chłóczyka na go-
rze pali się światło... jeszcze nas zobaczy.

Skrecają w bok, w brzezinę, a potem przed
siebie, potykając się na nierównościach.

Baśka szepta teraz głośniej:

— Ty wyskoczysz zza drzewa... ja zawisnę na
gałęzi... będę machać rękami, jak skrzydłami.

— Ciemna noc...

— Jaka tam noc? Wieczór dopiero!

— A może ona dziś nie wyszła na spacer?

— Nie słyszałaś? Co wieczór tu spaceruje, tą
aleją... Dopiero się przestraszy!

— Mnie samej straszno.

— Ach, gapo! A mówiłaś, że masz dość odwa-
gi do figli!

— No tak, ale...

— Już niedaleko, parę kroków.

Nagle Mańka zaplątała się w przesćciernadło
i bęc na ziemię!

— Nic ci się nie stało? Tylko nie biec!

— Trochę nogę skrećkam.

— Głupstwo. No, już jesteśmy, to tu. Chowaj
się za pień. Ja wiażę na drzewo.

Usadowiły się, czekają. Mańka pociąga nosem.

Wiatr szelęści w gałęziach. Co chwila wydaje się,
że ktoś stąpa, ale droga pusta.

Jest teraz widnieć, oczy się przyzwyczaiły do
mroku.

— Dlaczego mówiła, że się niczego nie boi?
Zobaczmy!

— Słuchaj, ale mnie zimno...

Mania szczyka zębami. Nie śmie się obejrzeć
za siebie, poruszyć. Znajomy las jest taki straszny
i tajemniczy w nocy! Poco tu przyszła? Dlaczego
dała się namówić Basi? Jakże chętnie znalazłaby
się teraz w łóżku... br... Ale sama zanic nie wro-
ci. Trzeba wytrzymać.

— A może Trusia poszła naokoło?

— Przecież zawsze chodzi na spacer po tej
alei, do końca i spowrotem. Mówiła mi nieraz,
zresztą sprawdzałam. Chwilę cierpliwości... zaraz
powinna nadejść...

Coś się poruszyło w gałęziach, nad głowami.

— Co to? Basiu, ja się boję...

— Wiatr porusza liśćmi.

— Nie... to pewnie dusza wiewiórki...

— Nie pleć głupstw!

— Lepiej wracajmy, Basiu, ja cię proszę...

— Jaki, cała wyprawa nadarmo? Przecież



PIEN SEKWOI

stające po pazurach i wysokość miejsca pocierania nosem. Nasz grizly zapewne mało miał rywali, ponieważ odznaczał się niezwykle siłą i okazałością.

Długim pasem ciągnie się ojczyzna grizly wzdłuż wybrzeży Oceanu Spokojnego — od Alaski do Meksyku. Zachodnie połacie Kanady są dla nich miejscowością najodpowiedniejszą. Lasy nieprzebyte — dawniej, przed przybyciem zaborczego człowieka, jeszcze bardziej pierwotne — obfitują w smaczne i urozmaicone pożywienie. Jagody, zioła aromatyczne i korzonki są przysmakiem wybornym, a oprócz tego — jako główne danie — służy mu suta danina, którą płaci swemu władcy kniei w postaci tłustych wiewiórek ziemnych-tamiasów, jeleni, wapiti, reniferów — w części północnej — i wielu innych słabszych od niego zwierząt. Napada grizly i na bydło domowe, lecz zwykle woli się nie trudzić i zjada padłe, ranne lub zabite zwierzęta. Teraz stosunki w społeczeństwie leśnym pogorszyły się znacznie ku wielkiemu zmartwieniu starego grizly, który wołałby zjeść parę kozłat wapiti, lub mło-

dego karibu — krewniaka renifera, niż opuszczać zaciszny zakątek rodzimej kniei urządzając długie i niebezpieczne wyprawy w doliny lub na brzegi lasu, gdzie pasą się stada owiec i bydła rogatego. Już od kilku lat dawał się we znaki stary rozbójnik okolicznym mieszkańcom. Wielu dzielnych, doświadczonych myśliwych-traperów próbowało go podejść i ukarać śmiercią za poniesione straty. Szary olbrzym zdążył jednak poznać najróżniejsze zdradzieckie sztuczki człowieka i, jako talizman, nosił pod włochatą skórą kulę, która ugrzęzła i zasklepiła się przy prawej łopacie: całe szczęście, że się odbiła ta kula od skały i utraciła przeto siłę! Teraz stary miś namyślał się głęboko, w którą stronę pójść po upragniony pokarm — czy z kniei się na chwilę wydostać i owieczkę lub cielaczka chwycić, czy tu, w gąszczu, przydybać drzemiącego wapiti?

Tymczasem przez gęste zarośla leśszczyzny przedzierał się ostrożnie i trwożliwie dorodny łos kanadyjski. Zimę spędził on w puszczy, a teraz — zwyczajem rodaków — na lato się przenosił do niżej położonych miejsc bagnistych, dalej od brzegów ku środkowi lądu odsuniętych. Tam rzeki potężne mają swe źródłiska, setki jezior większych i mniejszych pobłyskują tam tafłami srebrzystymi... Poczuł łos bezbronny, bo nowe rogi — rosochy dopiero niedawno odrastać mu zaczęły — obecność głodnego niedźwiedzia i pomknął czempredzej, śpiesząc się do swych niedostępnych bagnisk. Zobaczył to wypłoszony łomotem i trzaskiem łamanych przez łosia gałęzi pekan-wielka kuna — sąsiad starego grizly. Pekan był w przyjaznych stosunkach z królem kniei, więc donośnem cykaniem oznajmił mu o ucieczce łosia. Niedźwiedź, osłabiony przez długi sen zimowy, nie próbował nawet dopędzić szybkiego biegacza. Machnął z rezygnacją łapą i zjadł na pocieszenie garstkę zeszłorocznych borówek i osłupiała z przerażenia myszkę. To tylko podrażniło apetyt olbrzyma, więc podążył w kierunku małej rzeczki, gdzie, jak mu się przypomniało, zawsze było dużo ryb i gdzie trafiały się bobry. Gdy oddalił się surowy władca

z ulgą odetchnęła knieja. Liczni jej mieszkańcy zaczęli się żwawiej poruszać. Para wiewiórek zaskrzeczała radośnie, ścigając się w poskokach weselnych po chropowatych pniach daglezyj. Tamiasy — ozdobione czarno białymi pręgami po bokach — wyrzały

z nor, nie obawiając się już nagłej śmierci w przepastnym żołądku niedźwiedzia. Drobne ptaki — czyżyki sosnowe i krzyżodzioby roznosić poczęły wieść po całym lesie, że stary girzly wybrał się na ryby.

Inż. Włodzimierz Lindeman



Daleko, prawie pod biegun,
w zimnego wichru poświstach
wśród lodów i wśród śniegów
prowadzi droga skalista.
W polarnej zorzy blaskach
i śmierć i droga trudna,
a przecież nęci Alaska
szalonych śmiałków z południa.
Na saniach, na nartach, pieszo
z nadzieją, ze strachem, z ochotą
ścigają się i śpieszą
po złoty piasek, po złoto!
Liczna przybywa gromada,
a tam, wśród mrozów rzędzie.

Niejedna głowa w śnieg pada,
zabłądzą nogi niejedne.
Śmierć zamknie niejedne usta
ostatnim krzykiem: — Wprzód!
— Dokoła cisza i pustka,
i mróz straszliwy, i głód.
Zawiewa śnieżysty potop
trud, lub mogiłę kopacza.
Niewielu znalazło złoto,
niewielu ze złotem wraca.
A wciąż z południa przez śniegi,
przez wichru świst i śmiech
wciąż nowych śmiałków szeregi
jadą po złoto i śmierć.

J. H.

PIERWSI WYCHODŹCY POLSCY ZA OCEANEM

— Mówię ci, że największy bohater świata, to przecież nasz Jerzy Waszyngton. Porwał się na takie mocarstwo, jak Anglja, bez pieniędzy, z małemi siłami i wygrał — tłumaczył z zacięciem Jackie Magryś, mały Amerykanin, który przybył z rodzicami do rodzinnej wsi Albigowej.

— Ale dałby sobie tak radę, żeby mu nie pomógł nasz Kościuszko? — odciął się krewniakowi, 12 letni Kuba Magryś, stryjeczny Jackiego.

Zaperzył się i zarumienił ośmioletni

Jackie — gotów do bitki w obronie swego umiłowanego bohatera.

Ale wszedł Maciek starszy brat Kuby, gimnazjalista.

— Dajcie spokój chłopcy. Jackie ma rację. Jerzy Waszyngton był wielkim bohaterem, nietylko wojownikiem, ale i mężem stanu, który pierwszy rzucił hasło walki o niepodległość, o równość wszystkich obywateli, o wolność, ale wymagał posłuchu ludu dla wspólnego dobra wszystkich. Stany Zjednoczone Ameryki północnej były kolonją

angielską i pod przewodem Waszyngtona powstały przeciw swej macierzy, gdy ta chciała ograniczyć ich swobody.

— A czy Waszyngton był wojskowym? — zapytał Kuba.

— Waszyngton nie miał zawodowego wojskowego wykształcenia, choć jako 22-letni oficer w służbie angielskiej stoczył szczęśliwą potyczkę z wojskami francuskimi — ale przyniósł ze sobą na świat wszystkie talenty prawdziwego wodza — zimną krew i niezłomną wolę. Nie zrażał się nigdy żadnymi przeciwnościami i na każde niepowodzenie miał w odwodzie nowy plan, zawczasu przygotowany.

— A skąd znał się z Kościuszką, że wezwał go do Ameryki? — zapytał Jackie, oceniając z widocznym zadowoleniem uznanie krewniaka dla amerykańskiego bohatera i jego zasób wiadomości.

— Waszyngton nie znał Kościuszki ani nikogo z tych ochotników, co przybyli z drugiej półkuli. Ale wieść o walce za wolność, którą podjęli Amerykanie — mierząc siłę na zamiary, wzbudziła entuzjazm w całym świecie i pośpieszyli im z pomocą ochotnicy z Europy, pragnąc oddać tej wielkiej sprawie na usługi. Jednym z pierwszych był Tadeusz Kościuszko, Polak, kapitan i wychowaniec warszawskiego korpusu kadetów...

— Którego król Stanisław August Poniatowski, wysłał dla uzupełnienia studjów wojskowych zagranicę — wtrącił Kuba, kontent, że może się przed starszym bratem pochwalić swojemi wiadomościami.

— Tak jest — odparł Maciek — ale że w Polsce za powrotem z Francji nie



WASZYNGTON MIANUJE KOŚCIUSZKĘ GENERAŁEM

mal. Ajdukiewicz

znalazł wówczas możliwości zużytkowania wykształcenia wojskowego, bo redukowano w kraju siły zbrojne, a panoszyły się wojska rosyjskie — więc poniosł swój oręż i wiedzę na usługi obcej ale pięknej sprawie. A za Kościuszką przybył do Ameryki Francuz margrabia Lafayette, również zapalony wielbiciel zasad równości i wolności i trzeci — Niemiec, baron Steuben, doskonały oficer zawodowy ze szkoły Fryderyka Wielkiego, który też zorganizował przyszłą armję amerykańską. I ci cudzoziemcy wnieśli fachową wiedzę do armji amerykańskiej, która początkowo walczyła samym zapalem. I rzeczywiście z przybyciem Kościuszki, doskonałego znawcy robót inżyniersko-saperskich, męża nauki i wyższych zalet, jak

określał wódz naczelny Waszyngton, rozpoczął się pomyślny zwrot dla walczących o wolność. W wielkim zwycięstwie wojsk amerykańskich pod Saratogą w 1777 roku zadecydowały na niekorzyść Anglii wspaniałe fortyfikacje wzniesione sztuką i talentem, dzięki właściwemu wyborowi miejsca, przez Tadeusza Kościuszkę, które stanowiły skuteczną zaporę dla pochodu Anglików. Po bitwie tej zamianował Waszyngton Kościuszkę generałem. Mam nawet obrazek skomponowany na podstawie tego faktu...

— A kiedy przybył Pułaski — to także Polak, który się wstawił podczas walk o niepodległość — wtrącił Kuba.

— Kazimierz Pułaski, zasłużony wojownik Polski, z czasów Konfederacji Barskiej, słynny kawalerzysta, przybył do Ameryki już po Kościuszcze i oddał wielkie usługi sprawie amerykańskiej...

— Zginął pod Sawannah, wiem! — przerwał Maćkowi z dumą Jackie, — bo widziałem pomnik, który mu wystawili u nas w Ameryce.

— Ale i Kościuszek ma pomnik. W dalszej swej półtrzeciecorocznej służbie w wojsku amerykańskim ufortyfikował wyżyny nad rzeką Hudson i tam w West Point wzniesiono mu pomnik ze składek młodzieży akademickiej...

— Ja widziałem tam pomnik, ale to pomnik Kostajski, bardzo wielbionego w Ameryce. To był nie tylko znakomity wojownik, ale i wielki obywatel, który dochody swe przeznaczał na wykupno murzynów z niewoli, pomagał biednym i nawet pamiętał o nich w swoim testamentie — wtrącił Jackie.

— Ależ to ten sam, tylko, że po angielsku naszego Kościuszki inaczej wymówić nie można — wytłumaczył zaafierowanemu malcowi Maciek.

— Ale czemu Kostajski nie został w Ameryce, jak go tam tak honorowali? — zapytał zaciekawiony Jackie.

— Bo ojczyzna jego — Polska — była w potrzebie i potrzebowała jego usług. Sejm czteroletni w Warszawie uchwalił utworzenie stutysięcznej armii polskiej i potrzeba było oficerów i dowódców.



KAZIMIERZ PUŁASKI

— A co potem z nim było? — zapytał zaciekawiony Jackie.

— O tem opowiem ci innym razem! — odpowiedział Maciek — Wybierasz się do Krakowa na Sowiniec, by uczcić Marszałka Piłsudskiego, więc popatrz na kopiec Kościuszki, który usypał tam wdzięczny naród polski swemu Naczelnikowi. Z imieniem Kościuszki na ustach i w sercu szło bowiem do boju o niepodległość Polski wiele pokoleń, opowiem ci to dokładnie za twym powrotem.

— Ale powiedz mi tylko, czy Kościuszek nie był już nigdy więcej w Ameryce?

— Owszem, pojechał tam po wyjściu z rosyjskiego więzienia, ale nie został długo, bo w Europie gotowały się wielkie rzeczy. Pod przewodem Napoleona Bonapartego, znakomitego wodza Francji, formowały się we Włoszech polskie legjony.

— To Kościuszek pewnie poprowadził owe legjony... — przerwał Jackie.

— Nie, bo nie miał zaufania, czy Napoleon nie wyzyska owych polskich szeregów dla swoich osobistych celów, ale o tem już innym razem. Pamiętaj tylko, jacy byli ci pierwsi wychodźcy polscy za ocean, Kościuszek i Pułaski, staraj się również zasłużyć swej przybranej ojczyźnie, a tym sposobem przyniesiesz chwałę i Polsce.

PRZYJACIELE

— Mister Majoduki, proszę pokwitować rachunek.

Pan Schmidt, przedsiębiorca kolejowy podał Piotrowi Mioduckiemu kartę papieru, na której jedna pod drugą czerniły się cyfry.

— Należy się panu jeszcze trzy dolary, — dodał, kładąc pieniądze na stole.

Piotr ze zniechęceniem machnął ręką:

— Coś mi pan za dużo naliczył za jedzenie, mister Schmidt! Pracuję cały miesiąc, a wkońcu dostaję ledwo trzy dolary.

— A tytoń, a buty? — oburzył się przedsiębiorca. — Co pan myśli, że ja mogę was żywić i odziewać zadarmo?

Piotr milczał. Wiedział dobrze, że nie pomogą mu sprzeczki ze Schmidtem. Był w Kanadzie dopiero trzeci miesiąc i musiał godzić się na warunki przedsiębiorcy, aby nie stracić pracy.

Po przyjeździe do Ameryki Piotr długo nie mógł znaleźć sobie żadnej roboty. Dopiero po kilku miesiącach głodowania i tułaczki dowiedział się przypadkiem, że w Winnipeg istnieje towarzystwo pomocy imigrantom pol-

skim. Tam wreszcie znalazł opiekę i pomoc w poszukiwaniu zajęcia.

W okolicach miasta przeprowadzano właśnie nowe linje kolejowe. Piotr z radością podjął się pracy na trekach przy układaniu podkładów pod szyny. Tembardziej, że obiecywano mu aż sześćdziesiąt dolarów miesięcznie.

— Teraz będę mógł zabrać do siebie matkę i siostry, — myślał, obliczając w duchu przyszłe zarobki.

Ale wkrótce przekonał się, że z tej wielkiej sumy pieniędzy nie pozostawało mu prawie nic. Przedsiębiorca liczył robotnikom podwójne ceny za wszystko, a w pustej okolicy trudno było zaopatrzyć się w żywność u kogo innego. Piotr z miesiąca na miesiąc odkładał sprowadzanie rodziny, która w kraju cierpiała wielką biedę.

Mioducki po rozmowie ze Schmidtem powrócił do baraku i usiadł ciężko na ławie. Rozmyślał o swoich kłopotach i zastanawiał się, czyby nie warto było w niedzielę się udać do Winnipeg. Może towarzystwo polskie znajdzie mu korzystniejszą pracę.

W tej samej chwili ktoś po przyjacielsku uderzył go po ramieniu:



— O czym tak rozmyślasz, Mioducki?

Piotr podniósł głowę. Przed nim stał John, uśmiechając się przyjaźnie. John pracował wraz z Mioduckim na trekach. Zaprzyjaźnili się przy plantowaniu gruntów pod budowę linii kolejowej i każdą wolną chwilę spędzali razem.

Po raz pierwszy Amerykanin zauważył przygnębienie na twarzy Piotra.

— Co ci jest, Piotrze? — wypytywał zaniepokojony.

Mioducki opowiedział mu o swoich zmartwieniach. John słuchał uważnie.

— Myślę, że byłaby na to rada, — rzekł powoli, — ale szkoda mi się z tobą rozstawać.

— Jaka? Powiedz! — Piotr niecierpliwie zerwał się z ławy.

— Chciałbyś pracować na roli?

Mioducki spojrzał na Johna błyszczącymi oczami:

— Pewnie. Przecie chłop jestem. U nas, w Siedleckiem, całe życie siałem, orałem. Oj, żeby to taką robotę dostać!

— Tak i myślałem. Mówił mi farmer z Gretny, że mu trzeba robotnika. Coprawda płaca niewielka, trzydzieści pięć dolarów, ale za to życie nic nie kosztuje. Można prawie cały zarobek oszczędzić.

— Mój Johnie kochany, zaprowadź mnie do tego farmera!

Amerykanin uśmiechnął się:

— Czekaaj, czekaaj. Nie powiedziałem ci jeszcze wszystkiego. Niewiadomo, czy przystaniesz na takie warunki. Musisz pracować od świtu do zachodu słońca. Trzeba wydoić dwadzieścia krów dwa razy dziennie, oporządzić inwentarz i całą robotę zrobić w polu. Latem to niebyle jaka praca: orka, siew, kopanie, jak to na wsi.

— Na wszystko się zgody, — wtrącił Piotr z zapałem.

— Może się i zgodzisz. Tembardziej, że maszyny rolnicze ma ten mój farmer, jak cacka. Nawet przy pługu jest siedzenie dla oracza, kierującego końmi. Jedziesz sobie, jak sam prezydent!

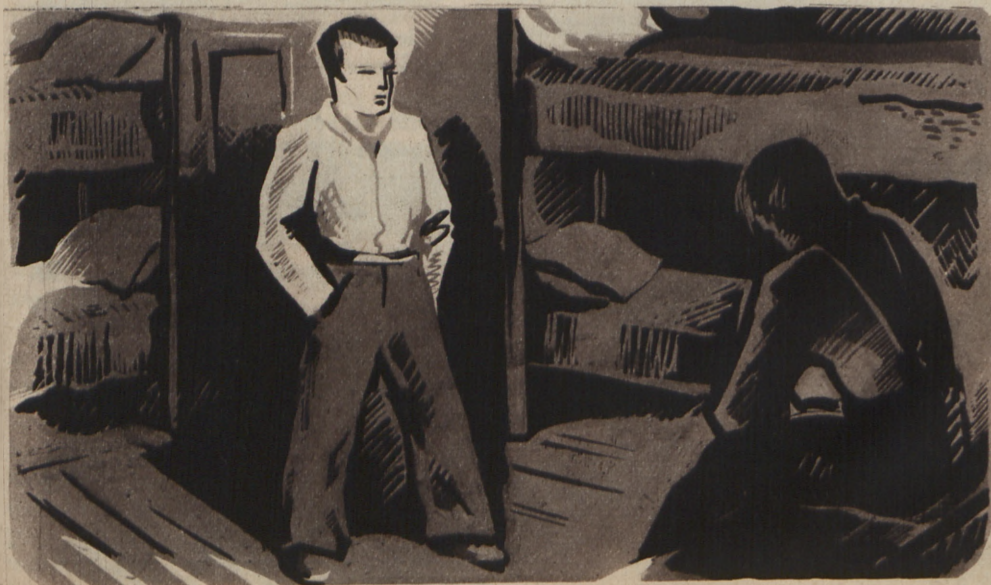
— Słuchaj, John, a możebyśmy obaj poszli na farmę?

Amerykanin potrząsnął głową:

— O, nie! Ja roli nie lubię. Wolałbym, żebyś ty ze mną pozostał. Ale prawdę mówiąc, tam ci będzie lepiej. Może się jeszcze własnej farmy dorobisz!

— Daleko to? — spytał Mioducki. Szkoda przecie każdej chwili. Farmer może sobie znaleźć innego człowieka.

— Do Gretny będzie pewnie z piętnaście kilometrów. Wiesz, to aż za rze-



ką Red. — Piotr skinął głową. Znał dobrze te strony, bo niedawno w okolicy osiedla Emerson układał podkłady kolejowe.

— Pójdziemy tam jutro z samego rana, — dodał Amerykanin.

— Nie masz pojęcia, John, jaki ci jestem wdzięczny, — powiedział Mioducki, siadając znów obok przyjaciela. — Może będę mógł wreszcie posłać matce pieniądze na przyjazd do Kanady.

— A tymczasem w Gretnie znajdziesz swoich rodaków. Będzie ci weselej.

— Co ty mówisz? Są tam Polacy?

— A jakże! Kilkanaście rodzin, osiadłych zdawna na roli. Wśród swojaków zapomnisz o mnie prędko, Majoduki, — westchnął John smutnie.

Ale Piotr uściśnął gorąco rękę Amerykanina i zapewnił:

— Nie, Johnie, takiego przyjaciela nie zapomina się łatwo. Ale przecież możemy się spotykać co niedzielę, póki nie przerzucą gdzieindziej budowy linji.

— Tak, będziemy się odwiedzać! — zawołał John wesoło. — A na starość osiadę u ciebie, na twojej własnej farmie i będę ci niańczył dzieci.

Wanda Grodzieńska



Ocean nas dzieli surowy,
huczący w ogromnych chłustach,
ale jednaką mową
brzmią nasze i wasze usta.
Choć życie tam ludziom łaskawsze
i może piękniejsza ziemia,
świat, co was zabrał na zawsze
jest przecież cudzy i nie wasz.
Wkrąg życie huczy hałasem,
tempem zawrotnem porywa,
i tylko nocą czasem
przeszłość w was wstaje jak żywa.

Jak starej melodja piosnki
przy pływa świat dawny, inny.
Dom śni się, sady, wioska
i ludzie z lat dziecinnych.
Wkrąg kolęd brzmi muzyka
i woń Palmowej Niedzieli.
Wtedy ocean znika,
który na zawsze nas dzieli.
Kurczy się czas i przestrzenie
w wspomnieniu i piosence
i chociaż rozdzieleni —
bratnie łączymy ręce.

A. Świrszczyńska





Na wtorek, 17 marca od godz. 12 min. 15 do godz. 12 min. 30 Radjo przygotowało dla młodszych dzieci audycję pod tytułem: „Na jarmarku”. W żywej scenie usłyszycie tak, jak na jarmarku, wiele gwaru, hałasu, głosy różnych zwierząt, a także i wesołą katarzynkę. Obrazek napisała p. Janina Broniewska.

We środę, 18 marca, od godz. 16.00 do godz. 16 min. 20 zostanie nadana „Rozmowa Majsterklepki z Lepigliną”. Znów coś nowego i praktycznego wymyślili ci dwaj spryciarze i zapraszają Was, abyście skorzystali z ich rad i wskazówek.

We czwartek, 19 marca, w dniu imienin drogiego nam Marszałka od godz. 16.00 do godz. 16 min. 15 oczekuje Was audycja p. t.: „Wspomnienia dzieci o Panu Marszałku”. Dzieci z Rodziny Wojskowej, koleżanki Wandzi i Jagódki, opowiedzą swoje wspomnienia z różnych chwil, które kiedykolwiek spędziły z ukochanym Dziadkiem.

W piątek, 20 marca od godz. 12 min. 15 do godz. 12 min. 40 audycja dla szkół i starszych dzieci: „O Fryderyku Szopenie”. Pogawędkę o życiu Szopena zilustrują jego najwybitniejsze

utwory muzyczne. Radjo daje tę audycję na życzenie wielu szkół, ponieważ dzieci uczą się o Szopenie.

I od godziny 16 min. 45 do godz. 17.00 będzie odczytany fragment z książki p. Heleny Radlińskiej p. t.: „Posiew wolności”. W tej książce opisane są dawne dzieje zesłańców na Syberję. Mała dziewczynka, która przebywała na wygnaniu razem ze swoimi rodzicami, opowie o przeżytych tam chwilach.

W sobotę, 21 marca od godz. 16 min. 15 do g. 16 m. 45 „Teatr Wyobraźni” przygotował dla Was wesołe słuchowisko p. t.: „Yo-ho-ho-ho”. To słuchowisko tłumaczone jest z angielskiego i było już raz zapowiadane w miesiącu listopadzie r. ub. Ponieważ wtedy odbyć się nie mogło, usłyszycie w sobotę, jaka przygoda spotkała podróżnych, którzy wpadli w ręce piratów.

W niedzielę, 22 marca, od godz. 16.00 do godz. 16 minut 15 „Chwilka pytań” pogawędkę ze starszymi spośród Was.

I w poniedziałek, 23 marca od godz. 18 min. 30 do godz. 18 min. 40 Mamusia radjowa udzieli odpowiedzi na miłe listy dzieci.

W. I.



Stefan wtedy leżał odwrócony twarzą do ściany i udawał, że śpi. Czasem ogarniała go chętka też wyskoczyć z łóżka, podbiec, ogarnąć rękoma tych dwoje kochanych, tulić

się do nich, śmiać się z nimi, ale wnet w jego sercu podnosił się bunt i żal: — A ojciec? Ojca niema, nigdy nie będzie, a oni się śmieją, zapomniaeli, odżalowali.



I zaciskał zęby i czekał aż mama podejdzie i zacznie go budzić:

— Stefan, już pora wstawać.

A on ani drgnie.

Dlaczego?

No, ho tak!

— Stefan, co za komedje? Wstawaj!

On zaciska zęby i pięści jeszcze mocniej, chociaż wie, że tam za nim Władys kuli się na łóżeczku zalękniony, a usteczka mu drżą powstrzymanym płaczem.

Czasem mama ręką machnie i wyjdzie. Władys zacznie się cichutko ubierać, a on dopiero gdzieś koło ósmej, gdy już po śniadaniu i pora zasiąść do lekcji, zacznie się powolutku wygrzebywać z łóżka, umyśl-

nie powolutku myć, ubierać i bez śniadania, bo już sprzątnięte, po ósmej, a więc spóźniony na lekcję, odęty i milczący, nawet głową matce i bratu nie kiwnąwszy na dzieńdobry, przyjdzie do stołu w bawialce, przy którym już matka poprawia jego zeszyty.

Zdarzało się jednak, że matka próbowała przełamać jego upór i wtedy powstawał sądny dzień. Matka chwytiała go za ramiona, wyciągała z łóżka i stawiała na podłodze, chciała mu siłą zmieniać koszulę, siłą prowadzić do miednicy. On szarpał się i krzyczał. Władys płakał i skomlał:

— Mamo, niech mama da pokój, on będzie grzeczny!

Aż mama rozczzerwieniona, potargana, zdyszana, dołożywszy chłopcu kilka klapsów na pożegnanie, odchodziła, nie jadła śniadania, tylko prosto szła w podwórze i wracała dopiero na ósmą, aby przy stole szkolnym oczekiwać, aż się chłopak, zabeczany i bardziej niż zwykle zacięty, zjawi na lekcję.

Czasami znowu zrywał się o świcie, ubierał pocichutku i wymykał do lasu. Miał tam swoje ulubione jeziorko, obrosnięte wierzbami, pałąką wodną i trzciną. Miał swoje gniazdko z gałęzi i traw, usłane wśród konarów wierzby. W tem schronieniu przebywał najlepsze i najspokojniejsze chwile. Miarowy, głęboki szum drzew; piękno lśniącej w słońcu wody; słodki zapach kwiatów i ziół; cały ten czar przyrody kładł się na skłóconem sercu chłopca, jak dobra, tkliwa, mądra dłoń i uciszał je i łagodził. Wtedy Stefan poczynął rozumieć niewłaściwość swego postępowania i wstydić się go. Myślał o poprawie, o zbliżeniu do matki i brata. Wtedy postanawiał, że gdy dorośnie, to za przykładem ojca poświęci życie służbie dla Polski. Nie wiedział tylko, w jaki sposób się do tego weźmie i do kogo się z tem zwróci. Doktor Kazio wyjechał do Paryża, bo mu zanadto żandarmi deptali po piętach, a innych towarzyszy ojca Stefan nie pamiętał. Jakoś jednak da sobie radę, słyszał, że już w gimnazjum są tajne organizacje wśród uczniów, a jemu czas było pójść do gimnazjum, skończył lat dwanaście, przechodził z matką kurs trzeciej klasy i wiedział, że po wakacjach matka chce go oddać do szkoły. Nieraz mówiła:

— Może tam znajdą na ciebie

sposób. Może tam zrozumiesz, jak źle w domu postępowałeś i jeszcze zatęsknisz za domem.

To go drażniło. Postanawiał, że właśnie tęsknić nie będzie, a choćby tęsknił, nie zdradzi się z tem. Uśmiechał się drwiąco, lub odpowiadał hardo. Władysław spoglądał na niego ze zgorszeniem, a matka dostawała wypieków i ręce jej drżały.

Nad jeziorkiem Stefan wstydził się tego, nawet czasem płakał i pełen dobrych chęci wracał do domu na śniadanie i naukę. Uczyć się lubił i przy nauce zachowywał się grzecznie. Podziwiał wiedzę matki i umiejętność, z jaką mu jej udzielała. To były chwile jakgdyby rozjemstwa między nimi, zwłaszcza, gdy Stefan spędził ranek na swej wierzbie.

Tej wiosny 1914 roku chodził tam coraz częściej. Może skłaniała go do tego piękna pogoda, która stroiła we wszelkie możliwe czary ten cudny zakątek; może zapowiedź rychłego odjazdu z domu podniecała w nim upodobanie do ulubionego miejsca. Coraz też częściej myślał o zmarłym ojcu, którego pamięć przyćmiły ciągle urazy do matki, ciągle obracane w głowie spory z nią i bunt przeciwko niej.

Pewnego ranka skulony wśród gałęzi wierzby, z rękoma oplecionymi koło kolan, Stefan spoglądał z zachwytem na białe opary, unoszące się nad wodą, tak prześwieczone wschodzącym słońcem, że wydawały się utkane z purpury i złota, niby jakieś zjawy nie z tego świata, jakieś duchy przejasne, cherubiny zabłąkane na ziemi. Stefanowi przeszła przez głowę myśl, że tak muszą wyglądać duchy ludzi dobrych i szlachetnych, tak musi wyglądać duch ojca.

— Ojczy, — szepnął ścicha, — ojczy!

Coś musnęło go w ramię, drgnął gwałtownie i obejrzał się nie z trwo-

gą, lecz z radością. Koło niego nie było nikogo. To widocznie jakiś spadający listek.

(d. c. n.)

Br. Włodkówna



W Ameryce mieszka około 4—5 milionów Polaków, co mniej więcej odpowiada liczbie ludności naszych dwu województw.

W Nowym Jorku i jego okolicy mieszka więcej Polaków niż w Krakowie, w Chicago mniej więcej tyle co w Poznaniu i Lublinie razem wziętych.

W miastach Buffalo lub Detroit mieszka więcej Polaków niż w Radomiu czy w Kaliszu.

W stanie Pensylwanii bogatym w kopaliny i bardzo uprzemysłowionym przebywa 375 000 Polaków, czyli więcej niż wynosi liczba mieszkańców miast województwa pomorskiego.

Obszar Ameryki Północnej jest 2 razy większy od całej Europy a 60 razy większy od obszaru Polski.

Same Stany Zjednoczone Ameryki Północnej (U. S. A.) posiadają 20 razy większy obszar od Polski.

Ludność całej Ameryki Północnej jest tylko 6 razy liczniejsza od ludności Polski a samych Stanów Zjednoczonych tylko około 4 razy liczniejsza od Polski.

Pierwotna ludność Ameryki, Indianie, jest spokrewniona z ludami żółtej rasy mongolskiej. Zwłaszcza małe dzieci indyjskie są bardzo podobne do dzieci chińskich czy japońskich. Mają takie same proste, czarne włosy, czarne, skośne oczy i szerokie, żółte twarze.

Tak dobrze nam znane rośliny jak ziemniaki, tytoń, pomidory i kaktusy pochodzą z Ameryki.

Z dobrze nam znanych zwierząt indyk pochodzi z Ameryki Południowej.

Kilka gatunków indyków żyje tam w lasach jako dzikie ptaki.

Świnka morska pochodzi z Ameryki Południowej.

Zwierzęta Ameryki Północnej są bardzo zbliżone do naszych a często nawet te same. Natomiast zwierzęta Ameryki Południowej różnią się bardzo nie tylko od naszych ale nawet od północno-amerykańskich.

Ameryka jest ojczyzną największych i najmniejszych na ziemi ptaków. Największymi są kondory, olbrzymie drapieżne sępy, najmniejszymi kolibry, nie raz zaledwie nieco większe od pszczoły i żywiące się nektarem kwiatów.

Łąd amerykański rozciąga się z północy na południe na przeszło 14 tysięcy kilometrów. Ptaki zwane „płatkonogami płaskodziobami” przelatują sobie tę przestrzeń dwa razy do roku, udając się „na lato” spod bieguna pod biegun.

Ameryka a nawet Stany Zjednoczone jest wbrew ogólnemu mniemaniu zabudowana przeważnie małymi domami parterowymi najczęściej drewnianymi. Olbrzymie drapacze chmur są tylko w Nowym Jorku i w Chicago.

W Stanach Zjednoczonych wytwarza się przeszło trzecią część produkcji światowej cementu, cztery piąte wyrobianych na świecie samochodów, więcej niż połowę zbieranej na świecie bawełny.

W roku 1934 na całym świecie było 33 300 000 samochodów, z tego w Stanach Zjednoczonych było 23 827 000.

Na około 5 mieszkańców U. S. A.

wypada jeden samochód. Można sobie wyobrazić, że jednego dnia wszyscy Amerykanie wsiadają sobie do aut i jadą na wycieczki.

W Polsce byłoby to trudniej urządzić, bo w każdym samochodzie trzeba by umieścić nie 5 a 1 300 osób.

Koleje amerykańskie wcale nie są takie imponujące. Na niektórych liniach są szybkie i punktualne pociągi, ale naogół mają tabor bardzo przestarzały, jeżdżą wolno i spóźniają się nawet o kilka godzin. W normalnym osobowym wagonie niema centralnego ogrzewania tylko stoi żelazny piecyk, do którego posługacz murzyn w miarę potrzeby dosypuje łopatką węgla. Wagony nie mają stopni i na każdej stacji znów ten posługacz murzyn przystawia do drzwi schodki, aby pasażerowie mogli wsiadać i wysiadać. Na stacjach dalekiego zachodu pociągi zatrzymują się kiedy ktoś ma wysiadać albo, gdy zawiadowca wywiesi chorągiew na znak, że są pasażerowie do zabrania. W porze posiłku zatrzymuje się pociąg na stacji tak długo, by podróżni mogli w bufecie pojeść bez pośpiechu i dopiero, gdy konduktorzy upewnią się, że wszyscy wrócili na swe miejsca, pociąg rusza dalej. Tory kolejowe przechodzą przez ulice miast bez żadnych zabezpieczeń. Na lokomotywie jest umieszczony dzwon, który ostrzega o zbliżaniu się pociągu. W miejscach, gdzie szczególnie często zdarzają się katastrofy czasami pojawia się dróżnik trzymając na kiju tabliczkę z ostrzegawczym napisem.

Ameryka posiada wiele dziwów przyrody. Do takich należy wielki kanjon Kolorado, jar głęboki miejscami na 2 000 m. „Zły kraj” w Idaho, półpustynia gliniasta poślizgnięta w niezliczone garby i t. d.

W okolicach szczególnie ciekawych są tworzone parki narodowe. Park Yellowstone posiada gejzery. Są to gorące źródła wybuchające w pewnych odstępach czasu wysokimi wytryskami wody i pary wodnej. Wody gejzerów zawierają dużo rozpuszczonych minerałów, które osadzają się około źródeł tworząc rozległe skorupy, często barwne

i fantastycznie ukształtowane. Gejzery są śladem dogasającej działalności wulkanicznej.

W mieście Saltlake City w stanie Utah wykorzystano gejzer praktycznie do usuwania w zimie śniegu z ulic miasta. Śnieg polewany gorącą wodą, otrzymaną darmo z głębi ziemi, topi się i spływa kanałami, bez kłopotu ze zgarzaniem i wywożeniem.

Ostatnio dają się Ameryce we znaki klęski burz pyłowych. Przez wycięcie lasu i zaoranie stepów pod zboża spulchniono i odsłonięto olbrzymie obszary kraju. Silniejsze wiatry porywają cząsteczki ziemi i zasypują uprawy nawet w dalekich okolicach. Nadto unoszący się w powietrzu pył jest utrapieniem dla ludzi i zwierząt.

Z klęską tą podjęto walkę przez zalesianie długich na setki kilometrów pasów ziemi.

Indianie znani nam z powieści, jako myśliwi koczownicy, zamieszkujący dzisiejsze Stany Zjednoczone i Kanadę, zostali przez białych prawie całkowicie wytępieni. Ocalały tylko nieliczne grupy przymierające głodem z braku zwierzyny w zmniejszonych lasach i zamienionych w pola i pastwiska stepach.

W południowych stanach częściowo ocaleli Indianie zwani Pueblo od budynków, jakie wznosili w kształcie stopniowych piramid. Indianie ci byli już częściowo rolnikami co pozwoliło im łatwiej dostosować się do zmienionych warunków życia. A co najważniejsze, przez długi czas pozostawali pod panowaniem Hiszpanów, którzy mimo wszystko byli mniej okrutnymi łepciołkami od Anglików.

Ludy Meksyku i półwyspu Jukatanu Aztekowie, Toltekowie i Majowie miały już wysoką kulturę, która upadła wskutek podboju Europejczyków.

Szczątki tej kultury są teraz odkrywane nieraz już tylko w postaci ruin i wykopalisk.

W roku 1933 zajmowały Stany Zjednoczone pierwsze miejsce w produkcji światowej wydobywając: $\frac{1}{3}$ produkcji światowej węgla kamiennego, $\frac{2}{3}$ ropy naftowej, $\frac{1}{4}$ żelaza surowego, $\frac{1}{3}$ stali, $\frac{1}{3}$ cynku, $\frac{1}{5}$ ołowiu, $\frac{1}{4}$ aluminium.

NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

REBUS 1



REBUS 2



ZAGADKA 1

Ma 22 nogi, dwa skrzydła, biega po polu i nigdy nie fruwa. Co to jest?

ZAGADKA 2

Gdzie to być może,
jak się to staje?
Od brzegu do brzegu
gwiazdy w szeregach
nad jednym świecą krajem.

ZAGADKA 3

Ani to miotła,
ani to szczotka,
a drapie chmury,
gdzie je napotka.

SZARADA 1

Pierwsza — przyimek,
druga — zaimek,
trzecia — to jedna litera,
co dwie litery zawiera.
Całość — to morze,
lecz nie całe morze,
Co to być może?

SZARADA 2

Dziwna to będzie szarada,
choć z dwóch części się składa.
Pierwsza, co ku nam zerka,
to przyimek (jedna literka).
Zato odrazu część druga
sześć liter ma i jest długa.
Oznacza drzewa o liściach drobnych,
co kwitnąc, pachną w maju nadobnym.
Całość — to pora, najmiłsza w świecie,
co przed nauką minęła w lecie.

ROZWIĄZANIE Z N-RU 26.

Rebus 1—książki to nasze przyjaciółki, 2—nasza szkolna czytelnia. Zagadka 1—żywica, 2—klucz, 3—grabie, 4—burak. Szarada 1—Po. 2—czytanie. Wizytówki: kominiarz, sztygar, maszynista, kamasznik, dozorca.

OD WYDAWNICTWA

DO P. T. RODZICÓW I NAUCZYCIELSTWA

Numer 25-ty „Płomyka” poświęciliśmy Rosji Sowieckiej, gdyż dzieci klas V-tych szkół powszechnych uczą się o tym kraju na lekcjach geografii, które przypadają na koniec lutego lub na początek marca.

Ponieważ jeden z dzienników p. n. „Ilustrowany Kurjer Codzienny” zamieścił obelżywy artykuł przeciw Związkowi Nauczycielstwa Polskiego za wydanie tego numeru, przeto na dziennik ten wnieśliśmy skargę do sądu.

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie pojedynczej:		W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wzwyż)	
miesięcznie	zł. 1.10	miesięcznie	zł. —.84
półrocznie	„ 5.—	półrocznie	„ 4.—
rocznie	„ 10.—	rocznie	„ 8.—

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1. (wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji 6.30-28.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny — Warszawa” — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej DO 7-ej W.

Redaktorzy: M. KOTARBIŃSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIAŻEK. Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — STANISŁAW MACHOWSKI.

Druk. Rotograw. „Nowoczesnej Spółki Wydawniczej, S. A.”, Warszawa



Z KALIFORNIJI